

Radio Solidarność w Trójmieście, Maciej Pawlak - fragmenty

Bogdan Borusewicz od razu, po pierwszej warszawskiej audycji nawiązał kontakt listowny ze Zbigniewem Romaszewskim. Chciał, by w Trójmieście też powstało podziemne radio, od Romaszewskiego potrzebował nadajnik. Grunt do współpracy był przygotowany, świadczy o tym korespondencja Zbyszka Bujaka z 16 kwietnia do współorganizatorów TKK. Odpowiedź od Romaszewskiego była dość dosadna, w sposób zaskakujący pisał, że: „(...) on nie będzie nadstawiał dupy, byśmy w Gdańsku zbierali laury”. Zgodził się wprawdzie wypożyczyć jeden z nadajników, ale pod warunkiem, że w Gdańsku zostanie nadana audycja warszawska. Nie był to dobry pomysł, nieaktualna warszawska audycja nie przystawała do gdańskich realiów, ale taki był warunek Romaszewskiego.

W celu zorganizowania łączności Borsuk wysłał do Warszawy Jozefa Kaczkowskiego – Ziuka. Tam, w Warszawie niedaleko dworca centralnego PKP, po wymianie umówionych haseł, udało się uzyskać kontakt i przeprowadzono rozmowy, ustalając sposób i czas dostarczenia sprzętu. Ziuk dostał sopocki adres na odebranie nadajnika. Uzgodniono, że audycja w Trójmieście zostanie nadana 30 kwietnia, tego samego dnia, w którym miała być nadana w stolicy druga audycja warszawskiego radia. Miało to utrudnić koncentrację sił bezpieczeństwa, zwłaszcza sprzętu do namierzania nadajników, w jednym mieście.

W Gdańsku przygotowano się do nadawania i do sprawdzenia zasięgu, jaki ma warszawski nadajnik. Ziuk szukał odpowiedniego budynku, by uzyskać daleką słyszalność audycji. Wybrał wysoki dwuklatkowy blok przy Tatrzańskiej 11. Budynek był najwyżej usytuowany wśród bloków w rejonie ulicy Czyżewskiego, najbliższej wzgórza Pacholek. Obie klatki schodowe powyżej dziesiątego piętra są połączone przejściem, z którego można dostać się na dach. Ziuk postanowił więc stąd nadać audycję. To usytuowanie nadajnika gwarantowało objęcie zasięgiem radia zarówno Gdańsk, Sopotu, jak i części Gdyni.

Kilka dni przed audycją wydrukowano kilkanaście tysięcy ulotek o treści: „Dnia 30.04.1982 o godz. 20.00 na falach UKF zostanie nadana pierwsza audycja wojenna Radiowej Agencji Solidarności Gdańsk. Działając solidarnie, zwyciężymy. Solidarność Wybrzeża”. Rozkolportowano je w dniach 29–30 kwietnia krotko przed audycją, by bezpieka nie zdążyła się przygotować. Umieszczano ulotki na klatkach schodowych, rozdawano pasażerom komunikacji miejskiej i rozrzucano z kolejki elektrycznej SKM. Nie obyło się bez strat, przy kolportażu wpadła jedna z grup, ulotki jednak zdążyli rozrzucić, z ośmiu tysięcy ulotek zostało im 214 sztuk – z tyłoma ich złapano.

Nadajnik radiowy i audycję przywiózł z Warszawy Janusz Klekowski. Zatrzymał się u swojej siostry przy ulicy Chopina w Sopocie. Tu 30 kwietnia przyszedł Ziuk. Janusz Klekowski przeszkolił go w obsłudze nadajnika, umówili się na miejsce sprawdzenia zasięgu i czas oddania sprzętu. Był piękny słoneczny dzień. Ziuk pojechał z przyjacielem Andrzejem Dembińskim na ulicę Tatrzańską w Oliwie. Weszli na ostatnie piętro, tam w korytarzu łączącym klatki schodowe podłączyli nadajnik do prądu, trochę się z tym szarpiąc, bo gniazdko nie było, trzeba było rozkręcić kawałek instalacji elektrycznej. Następnie przez wąskie, wysoko umieszczone okno w korytarzu, z trudem przedostali się na dach wieżowca, wysunęli długą teleskopową antenę, i o dwudziestej puścili audycję. Zostawili pracujący nadajnik, zjechali windą na dół, by zorientować się, czy nie mabezpieki. Ponieważ teren był czysty, bezpieka nie zdążyła ich namierzyć, po chwili wrócili i po zakończeniu audycji zwinęli sprzęt. Jeszcze tego samego dnia Ziuk odwiózł nadajnik na ulicę Chopina w Sopocie i przekazał Januszowi Klekowskiemu, który zabrał go do Warszawy.

Całość była dość ryzykowna. Warszawskie wieżowce miały wiele anten i dodatkowa antena ginęła w gąszczu innych. Gdańskie bloki miały tylko jedną antenę zbiorczą, stąd na dachu wieżowca przy Tatrzańskiej długa teleskopowa antena lśniła w zachodzącym słońcu i była widoczna z daleka, przynajmniej tak zapamiętali to nadający audycję. Również podłączenie prądu i wyprowadzenie go na dach wraz z nadajnikiem przez wąskie okno przez dwóch czterdziestolatków o tak późnej godzinie wzbudziło podejrzliwość jednej z lokatorek, która właśnie rozwieszała pranie w suszarni. Zdziwiło ją, że panowie pracują po godzinach i przedostają się na dach przez wąziutkie okno pod sufitem, a nie przez przeznaczone do tego stalowe drzwi.

Audycja była dobrze słyszalna na molo w Sopocie, sprawdzał osobiście Janusz Klekowski. Mimo sporej odległości nie było to zaskoczeniem, bo z dachów na Tatrzańskiej widać sopockie molo. Słyszalna była też w Żabiance, Oliwie, Przymorzu, we Wrzeszczu i zapewne również w dalszych dzielnicach Trójmiasta. Nadajnik był tak wysoko umieszczony, że najprawdopodobniej audycję mogli słyszeć również mieszkańcy Helu, jeśli o niej wiedzieli. Nadanie audycji udało się, nie zadowoliło jednak Bogdana Borusewicza. Przede wszystkim chciał on nadawać własne, a nie warszawskie audycje. Poza tym, ta próbna emisja ujawniła szereg niebezpieczeństw.

Duża stosunkowo moc nadajnika i jego duży zasięg wcale nie były walorem, lecz wadą. Audycje musiały być zapowiadane, by ktoś mógł je usłyszeć. Ale zapowiadając je, uprzedzało się SB, która bardzo łatwo mogła namierzyć pojedynczy nadajnik znacznej mocy i z daleka dojrzeć samotną, długą antenę. Mimo dużych kosztów, zastanawiano się nad pozostawianiem

sprzętu na dachu zaraz po uruchomieniu nadajnika. i puszczeniu audycji. Jednak konieczność podłączenia do prądu i wysuwanie długiej teleskopowej anteny w znanym SB terminie było bardzo niebezpieczne. Jedyne walor tego nadajnika to fakt, że wystarczyły do nadawania dwie osoby i audycje osiągały daleki zasięg. To nie wystarczało jednak, by zrównoważyć niebezpieczeństwo wpadki. Szczególnie, że spodziewano się, iż bezpieka bez problemu może zagłuszyć nadajnik pracujący tylko na jednej fali. To spowodowało poszukiwania innego sposobu nadawania.

[...]

Fenomen stanu wojennego polegał na tym, że ludzie, którzy tak niedawno bali się o premię, awans czy dobrą pracę, teraz pomagali, nie zważając na konsekwencje.

Kto nie miał kontaktu z podziemiem, próbował pomagać, jak mógł. Ludzie masowo zbierali składki związkowe w swoich zakładach pracy. Była to podstawowa pomoc dla siedzących w więzieniach i ich rodzin, przy czym była też surowo karana. Niektórzy nosili wpięte w klapy oporniki w miejsce zakazanego znaczka „Solidarności”. Wpinanie opornika też było ryzykowne, o czym przekonał się Aleksander Frel, skazany przez kolegium ds. wykroczeń w Starogardzie Gdańskim na trzy miesiące aresztu i przepadek opornika. Masowo uczestniczono też w demonstracjach ulicznych, które zwykle kończyły się bitwami z ZOMO, co z kolei skutkowało następnymi prześladowaniami, pobiciami i wyrokami. Mimo to szukano różnych sposobów wyrażania swojego sprzeciwu. Zaczęto malować hasła na murach miast. Napisy, oczywiście, niezwłocznie zamalowywano i ostro karano tych, którzy je wykonywali. Społeczeństwo sięgało jednak dalej do najróżniejszych środków, np. palono świece w oknach, a w wielu miastach spacerowano w trakcie znienawidzonego dziennika telewizyjnego.

Jeszcze innym sposobem wyrażenia swojej postawy było włączanie audycji RWE poprzez radiowęzły zakładowe czy inne wewnętrzne sieci łączności. Wpadli na taki pomysł np. kolejarze. Korzystając z własnej łączności, transmitowali audycje RWE. Słupska bezpieka wpadła na trop jednej z takich audycji w lutym 1982 roku. Przeprowadzono obszerne śledztwo, natrafiano na dalsze transmisje, nie udało się jednak, na szczęście, ustalić gdzie i kto działał na szkodę władzy. W listopadzie 1983 roku sprawę zamknięto jako niewyjaśnioną. Podobnie było w Gdyni, w październiku 1982 roku w Zarządzie Portu przez sieć radiotelefoniczną Straży Portowej nadano piętnastominutową audycję RWE. W stanie wojennym w działaniach wspierających Polaków dużą rolę odegrał Kościół. W 1982 roku powstała tradycja odprawiania w kościołach mszy św. za ojczyznę. W wielu świątyniach w grudniu 1981 roku odczytywano listy aresztowanych parafian. Powstawały Kościelne

Komitety Pomocy Więzionym, Internowanym, Represjonowanym i ich Rodzinom. Tu docierała pomoc z zagranicy, gromadziły się również tysiące ludzi pomagających dostarczyć wsparcie rodzinom aresztowanych. Mimo legalności tych działań, pracujący przy tej pomocy musieli liczyć się z represjami.

Każdy chciał pokazać, co myśli o represjach. Aktorzy zorganizowali bojkot telewizji. Wielu dziennikarzy pokazało swoje poglądy odpowiednim zachowaniem. Wiele osób w bezinteresowny sposób pomagało konspiratorom. Wśród nich byli też funkcjonariusze więziennictwa. O ich życzliwości przekonała się najmłodsza więźniarka stanu wojennego Ania Stawicka. Dnia 2 marca 1982 roku Anię zabrano ze szkoły i aresztowano. W kwietniu została skazana na trzy lata więzienia za ulotki. W maju w czasie przewożenia z Gdańska do więzienia w Fordonie koło Bydgoszczy konwojenci zawieźli ją najpierw na kilka minut do domu, by mogła pożegnać się z rodziną i przyjaciółmi. Rodzina została poinformowana w przeddzień o wyjeździe Ani przez strażnika więziennego Marka, który był też konwojentem tego transportu. W dalszej drodze funkcjonariusze zaprosili ją i jej koleżankę z więzienia, Wiesię, do zajazdu na obiad. Obaj bardzo ryzykowali, być może dlatego niedługo potem wylecieli z pracy.

Filarami podziemnego oporu zostali ci, którzy uniknęli złapania przez bezpiekę i chcieli walczyć. Wobec ogromnych represji starano się jednak działać z maksymalnym zachowaniem zasad konspiracyjnych. Porozumiewano się przy pomocy zaufanych łączników, często zmieniano adresy, które znali tylko nieliczni. Ta taktyka była bardzo skuteczna, ale spowalniała działania. Niektórych z konspiratorów władze poszukiwały tak usilnie, że w gazetach ukazywały się listy gończe z ich zdjęciami, a bezpieka organizowała specjalne grupy do ich znalezienia. Gdy bezpieka dostawała informację o ukrywającym się, było gorąco.

Wypowiedzenie wojny własnemu społeczeństwu stworzyło nową liczną grupę obywateli, ludzi ukrywających się. „Podziemni” nie mogli mieszkać w dotychczasowych miejscach. Również nie mogli przebywać u najbliższej rodziny i przyjaciół, jako osób, u których można było ich łatwo namierzyć.

Nie zawsze i nie wszystkim udawało się zdobyć odpowiedni lokal do ukrywania, pecha miał z początku Olek Hall: „Gospodarzem był jeden z pacjentów gdańskiego psychiatry Kazimierza Kotowicza – opowiada Jerzy Hall, brat Aleksandra. – Deklarował się jako zdecydowany antykomunista, ale zachowywał się przedziwnie. Chodził w kasku, chroniąc się, jak twierdził, przed promieniowaniem. Spał w szafie. Wyznaczał gazetami szlaki, po których kazał poruszać się Olkowi po mieszkaniu, bo tylko w tych miejscach – przekonywał – jest bezpiecznie. Olek był wykończony”.

W mieszkaniu można było przebywać najwyżej kilka tygodni. Potem gospodarze byli zmęczeni, ruch większej liczby osób mógł stwarzać zagrożenie. Czasem wracano do takiego mieszkania po jakimś czasie. Często wykorzystywano dane lokale na spotkania, skrzynki kontaktowe, magazyn bibuły czy inną działalność podziemną.

„Zawodowi” konspiratorzy, ukrywający się musieli umieć się przebrać, zmienić wygląd, umieć wtopić się w otoczenie. Nie od razu umieli się przystosować, trudności miał początkowo Marian Terlecki, lepiej szło Bogdanowi Lisowi. Pierwsze spotkanie z Bogdanem Borusewiczem – Borsukiem – w stanie wojennym wspomina człowiek znający go wcześniej: „Pierwszy raz widziałem go jeszcze zimą (w lutym 1982?) na peronie tramwajowym na Zaspie. Było bardzo zabawnie, bo Borsuk był przebrany za starą kobietę i na początku go nie poznałem”! Inna osoba zapamiętała go tak: „Czekałem u Maryli na Borsuka. Byłem sam. Borsuk się spóźnił. W końcu umówiony sygnał dzwonka, otwieram, a tu jakiś facet z kręconymi włosami, mówi umówione hasło, a ja odpowiadam, że to pomyłka. Nie poznałem Borsuka”. Jeszcze jedna relacja: „Pierwszy raz Bogdan przyszedł do mnie na Suchanino, nie poznałam go, dopiero jak się odezwał, poznałam go po głosie”. Wszystko przez różne konspiracyjne charakteryzacje.

Dziwny był to świat. Z pozoru najprostsze sprawy urastały do problemów. Przez kilka tygodni telefony były wyłączone. Potem, jak można było już dzwonić, po podniesieniu słuchawki słyszało się głos mówiący „rozmowa kontrolowana, rozmowa kontrolowana”. Dlatego starano się unikać rozmów telefonicznych. Mało kto miał zresztą telefon, był on w tamtym systemie dobrem deficytowym. Dziś trudno sobie to wyobrazić, ale na telefon czekało się kilkanaście, a bywało, że i więcej, lat. Komórek jeszcze nie wymyślono. Samochody były nieliczne, benzyna na kartki, a komunikacja publiczna była dużo, dużo gorsza niż dziś. Na spotkanie zwykle trzeba było się umówić poprzez wysłanie przez łącznika malutkiej karteczki-listu i przyjść na czas. Spóźnienie łącznika wymagało nowego kontaktu. Trzeba było zastać go w domu czy lokalu konspiracyjnym. Jeśli się go nie zastało w domu, rodzina, nie znając osoby, informowała, że taki tu nie mieszka. Wszystko ze względów konspiracyjnych. Czasem dochodziło do przypadków niebezpiecznych, a po czasie śmiesznych. Po konspiracyjnym spotkaniu po jednego z ukrywających się członków RKK miał przyjść łącznik. Znał adres i hasło. Zapomniał tylko, lub nie wiedział, że to dom bliźniak i ma z jednej strony nr 35, a z drugiej 35a. Podeszedł do nieodpowiednich drzwi (może spłoszył go agresywny pies właścicieli lokalu?), zadzwonił umówionym sygnałem, otworzyła jakaś pani, a łącznik odezwał się do niej: „Czy Wojtek zostawił dla mnie zegarek?”. Pani była

zaskoczona i odpowiedziała, że nie. Po godzinie ten sam łącznik jeszcze raz zadzwonił i do tej samej pani wyrecytował magiczne hasło: „pogoniła”. Inną przygodę miał Wiselka, który został wysłany z pokaźną sumą dolarów do ukrywającego się, do Brzeźna. Tam w małym rybackim domku na podwórzu w oknie po lewej od wejścia miał stać globus, sygnał, że jest bezpiecznie. Był wczesny rano, gdy Wiselka wszedł na podwórko, spojrzął w okno, globusa nie ma, to poszedł sobie. W kieszeni miał jednak te dolary, w tamtych czasach to równowartość kilkuletnich zarobków. Pieniądze paliły kieszeń. Po godzinie Wiselka wrócił, a globusa w oknie nie ma. Za trzecim razem, mimo braku globusa, zaryzykował. Zapukał umówionym sposobem, otworzono mu, a po podaniu hasła wpuszczono do przedpokoju. W pokoju po lewej stał zdenerwowany ukrywający się i na widok Wiselki chwycił ze stołu globus podbiegł i postawił w oknie. Takie nieporozumienia zdarzały się czasem i nie zawsze było z czego się śmiać, choć dziś wygląda to wesoło.

[...]

Nad namierzeniem nadajników Radia Solidarność Gdańsk pracowała przede wszystkim bezpieka, ale wykorzystywano też wojsko, Radiokontrwywiad i Państwową Inspekcję Radiową. Pomagały też ekipy bezpieki ściągnięte z Warszawy i innych miast. Wszystkie te siły usiłowały odnaleźć nadajniki na szczęście dla trójmiejskich radiowców nieskutecznie.

Ponieważ radio nadawało w latach 1982–1986 na wolnym paśmie fal ultrakrótkich (UKF), audycje były zapowiadane, stąd i bezpieka знаła ich terminy. W czasie audycji mobilizowano ogromne siły do zlokalizowania nadajników. W namierzaniu audycji radia brało udział po kilkuset ludzi i wiele samochodów. Próbowano namierzyć nadajniki helikopterami, nieskutecznie, szybko się z tej metody wycofano, później zastosowano profesjonalne wojskowe namierniki. Samochodowe stacje namiaru ustawiane były w Gdańsku po stronie wzgórz, na przykład przy Uniwersytecie Gdańskim. Bliżej morza jeździły ruchome namierniki, a wewnątrz tych obszarów poruszały się mniejsze samochody z antenami odbiorczymi i agenci z ręczną aparaturą namierzającą. Te formy namierzania były groźne, wojskowy sprzęt mógł wysledzić nadajnik w czasie kilku sekund.

Nie udało się dotrzeć do materiałów bezpieki opisujących akcje przeciw podziemnemu radiu w Trójmieście, być może zostały zniszczone. Wszystko wskazuje jednak na to, że odbywało się to tak samo jak w Warszawie w 1983 roku, gdy tam zaczęto nadawać, tak jak w Trójmieście, za pomocą wielu małych nadajników, zwanych Gieniami, które warszawiacy produkowali na podstawie dokumentacji dostarczonej z Trójmiasta. Bezpieka miała już doświadczenia w akcjach przeciw podziemnemu radiu na wybrzeżu. Zwiększono liczbę zespołów namierzających, zmniejszając ilość zaangażowanych funkcjonariuszy. W stolicy do

namierzania radia każdorazowo wyznaczano według planu: 341 funkcjonariuszy, 30 samochodów i 3 autokary. Siły te dzielono na piętnaście zespołów namiarowo-poszukiwawczych i odwód, czasem organizowano je w trzy grupy po cztery do siedmiu zespołów. Nie działało to skutecznie, szwankowała łączność, a zwłaszcza namierzanie nadajników. W Warszawie przeprowadzono do końca 1986 roku przeszło siedemdziesiąt siedem akcji tego typu, później robiono je tylko okazjonalnie.

Rezultaty były mizerne, po akcji z 20 października 1983 roku warszawska bezpieka raportowała: „Pomimo jednak użycia tak znacznych sił i środków nie udało się bliżej zlokalizować miejsca, z którego emitowana była audycja Radia Solidarność. Dokonany namiar przez RKW MSW wykazał pracę dwóch nadajników, z których jednego nie zlokalizowano, natomiast drugi zlokalizowano w rejonie ulic Afrykańska–Ateńska. Trwająca około pięciu minut audycja zakończyła się, zanim zespoły namiarowo-poszukiwawcze przemieściły się ze Śródmieścia i Mokotowa na Pragę”. Bezpieka stale usprawniała system namiaru, nawet doszła do wniosku, że ważna jest łączność pomiędzy zespołami poszukiwawczymi, podawano to we wnioskach z przeprowadzanych akcji.

Zasada działania bezpieki była następująca: zespoły namiarowo- -poszukiwawcze po zlokalizowaniu nadajnika miały otoczyć budynek. Wyznaczeni pracownicy operacyjni stawali na zewnątrz budynku, obserwując okna i balkony, czy ktoś nie wyrzuca nadajnika. Zabezpieczano wszystkie wyjścia z bloku, legitymując, spisując i dokonując przeszukań bagaży wszystkich wychodzących. W tym samym czasie inni funkcjonariusze przeszukiwali okoliczny teren, sprawdzając trawniki, śmietniki, zaglądając pod każdy krzaczek w nadziei na odnalezienie części nadajników, które mogli wyrzucić nadający. Jednocześnie przeszukiwano budynek, w pierwszej kolejności dachy, strychy, maszynownie wind, pralnie, suszarnie, zsypy i klatki schodowe. Następnie rozmawiano z mieszkańcami najwyższych pięter i dozorcą, pytając ich o podejrzane osoby, które mogły instalować antenę lub rozpoznawać teren. Typowano mieszkania do przeszukań, których miano dokonać jednocześnie. Przed przystąpieniem do przeszukania, mieszkania oraz ich lokatorzy byli sprawdzani w systemie Adrem oraz dostępnych kartotekach resortu spraw wewnętrznych. W przypadku odmowy właściciela mieszkania na dokonanie przeszukania, lub nieotwarciu drzwi, kierownik grupy powiadamiał stanowisko dowodzenia, które podejmowało decyzję o wyważeniu drzwi wejściowych. Przeszukania takie były akceptowane przez Prokuraturę Generalną, dopuszczała je po okazaniu legitymacji służbowej, nawet w nocy...